

BEATA MAJEWSKA

Czasem trzeba
przegrać, by dostać
kolejną szansę na
zwycięstwo

ZAPOMNIJ,
że istniałem



BEATA MAJEWSKA

ZAPOMNIJ,
że istniałem

Redakcja: Barbara Kaszubowska
Skład DTP: Andrzej Zyszczyk – Zyszczyk.pl
Korekta: Kinga Dąbrowicz – Zyszczyk.pl
Projekt okładki: Justyna Sieprawska (Facebook: @justyna.es.grafik)
Zdjęcie autorki: Samuel Kubarek
Zdjęcia na okładce: kiuikson (depositphotos.com);
Adam Borkowski – borkography (unsplash.com)
Logo Wattpad – Pixel perfect (flaticon.com)

Zamówienia hurtowe: biuro@infobis.pl
Dystrybutorzy:
L&L Firma Dystrybucyjno-Wydawnicza – <https://ll.com.pl>
Platon Sp. z o.o. – <https://www.platon.com.pl>
Ateneum – <https://www.ateneum.net.pl>
Księgarnia: www.dobrarada.com.pl

Copyright © Beata Majewska
Copyright © INFOBIS Rafał Głąb / Wydawnictwo Miraż, 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody wydawcy jest zabronione.

Wydanie I
ISBN 978-83-67657-02-0



Śledź mnie na Facebooku:

<https://www.facebook.com/AugustaDocher>

Tym, którzy odważyli się wziąć sprawy w swoje ręce

PROLOG

Najpierw był telefon.

Rafał zadzwonił do niej, zaniepokojony jej nieobecnością. Weronika nigdy się nie spóźniała i dotrzymywała słowa; jeśli obiecała, że wróci o dwudziestej, o dziewiętnastej pięćdziesiąt pięć słyszał zgrzyt zamka w drzwiach, a chwilę potem cały korytarz wypełniał się Weroniką: burzą jej miedzianych loków, zapachem trawy po letnim deszczu, światłem uśmiechu i głosem podobnym do brzęku obficie sypiących się małych srebrnych monet. Ale tym razem długo nie odbierała telefonu, a gdy w końcu usłyszał kliknięcie w słuchawce, jego ucho zaatakowała chaotyczna kompozycja pokrzykiwań i ryków syren.

– Halo? Weronika?

Z głośnika telefonu wybrzmiał męski głos, który wymówił tylko jedno słowo:

– Słucham.

– Weronika? – wychrypiał Rafał, czując, jak wewnątrz dłoni, w której trzymał komórkę, natychmiast powilgotniało. – Halo? Weruś, odezwij się. Gdzie jesteście? Co się stało? Coś z Kacprem? Halo, co tam się dzieje?!

Nagle wszystko ucichło, nawet głośne dudnienie jego serca. Umarł z przerażenia. Stał jak wmurowany, ściskając w dłoni, martwy jak on, telefon.

Niedługo później była wizyta.

Minęło tylko pół godziny od chwili, kiedy wszystko w nim zastygło. W progu domu stanęło dwóch policjantów, nieświadomych tego, że będą rozmawiać z żywym trupem. „Nieszczęśnicy” – pomyślał, widząc wyrazy ich twarzy. Rafał był mniej zdenerwowany od nich, a na pewno lepiej nad sobą panował. Jeden z mundurowych, ten wyższy, miał przekazać hiobowe wieści. Nie pierwszy raz starszy aspirant Wojtek Łoziński musiał powiadomić rodzinę o śmierci bliskiej osoby, ale dzisiejsza wizyta należała do tych najtrudniejszych, bo zginęła młoda kobieta i jej dziecko, trzyletni chłopczyk. Dlatego jeszcze na posterunku, w łazience, przeciwiczył zakładanie profesjonalnej maski, wyrażającej troskę, odrobinę współczucia – ale niezbyt wiele, by nie daj Boże nie zostało uznane za litość – a także wsparcie, zrozumienie i chęć udzielenia wszelkiej możliwej pomocy.

Zapytał, czy rozmówca to Rafał Snarski, poprosił o dowód tożsamości i starając się utrzymać neutralny ton głosu, przekazał:

– Doszło do wypadku. Niestety, mimo szybkiej interwencji służb nie udało się uratować pana małżonki ani synka. Przykro mi.

Łoziński podniósł rękę, chcąc dotknąć jego ramienia, ale dłoń trafiła w pustkę. Rafał nie zemdlał, po prostu się odsunął,

odruchowo, bezwiednie, automatycznie. Uniknął dotyku. Nie chciał go, choć powinno mu być obojętne, że ktoś dotyka jego truchła. W końcu jakież to ma znaczenie?

Potem był pogrzeb.

Przyszło mnóstwo ludzi. Całe tłumy.

Bo Weronika była młoda, miała zaledwie trzydzieści cztery lata, bo ładna, miła, mądra, bo studenci ją uwielbiali. Bo zginął jej synek, słodki maluszek, bo wszyscy rodzice przedszkolnych kolegów i koleżanek Kacperka przyszli go pożegnać. Bo: „Proszę pani, jakie nieszczęście!”, „Matka i dziecko!”, „Straszny wypadek!”, „Musiałam przyjść, chociaż ich nie znam osobiście, ale znałam jego/jej matkę/ojca/siostrę/sąsiadkę, tę Woźniak, która czasami myła u nich okna”. Bo Rafał został sam. Bez nikogo. Bez rodziny, bez żony, bez syna, bez rodzeństwa – „To jednak, proszę pani!” – bez matki i ojca, ale tego ostatniego tak naprawdę nie miał nigdy. Bo trzeba okazać wsparcie i solidarność. I współczucie. Napełniać go tym współczuciem aż do odruchu wymiotnego, czy chciał, czy nie. Przyszli nawet oni – ci, których nie życzył sobie widzieć. Wprawdzie potrafili wtopić się w tłum, by nikt niepowołany nie zarejestrował ich obecności, ale Rafał wiedział, że są blisko.

Lecz oni też poszli. Zniknęli wraz z resztą, a on...

Został sam.

Rafał stał nad świeżo zasypaną mogiłą, skrywającą dwie urny. Nie chciał pogrzebu, nie chciał mszy i tej całej ceremonii, ale rodzice Weroniki się uparli. Był im to winny, to oni ją wychowali na wspianego człowieka, dzięki nim mógł przeżyć najlepsze pięć lat swojego życia u jej boku. Zgodził się więc na pogrzeb w katolickim obrządku, tak samo jak wcześniej

przystał na chrzest Kacpra. Stał nad grobem i próbował się dowiedzieć, usłyszeć, co mówi mu martwe serce.

O co pytał?

Czy będzie tu przychodził.

Nie wiedział, czy tego chce i potrzebuje. Czy jego wizyty na cmentarzu mają jakikolwiek sens? Czy Weronika by tego chciała? Bo jeśli miałby tutaj przychodzić tylko dla siebie, to nie będzie tego robił. Zapłaci komuś, kto zadba o groby, a raczej o jeden wspólny grób, bo tak zdecydowali rodzice Weroniki. Zleci opiekę nad tym miejscem jakiejś miłej starszej kobiecie, która chce sobie dorobić do emerytury. Kręciło się ich kilka pod bramą, niektóre zostawiały karteczki z numerem telefonu na obskurnej tablicy ogłoszeniowej wiszącej tuż przy głównym wejściu. Uczynna pani Irenka czy Wanda będzie dbała o pomnik, przynosiła świeże kwiaty i zapalała znicze, a gdy te się zabrudzą, wypłowieją, popękają od słońca albo mrozu, kupi nowe, piękne, te najdroższe i najbardziej finyzyjnie zdobione.

Minęła godzina, a on nadal nie wiedział, czy kiedykolwiek tutaj przyjdzie. Nie miał pojęcia, że przez cały ten czas ktoś na niego czekał. Gdy za bramą cmentarza zobaczył księdza, tego, który prowadził nabożeństwo, pomyślał, że to jakiś żart.

– Ksiądz czeka na mnie? – upewnił się, rozglądając od niechcienia na boki, ale prócz nich nikogo nie było w pobliżu.

– Tak, synu.

– Nie mów do mnie „synu”, ojcie. – Wzgardliwie wydał usta. Już miał odwrócić się na pięcie i odejść, ale nie mógł się powstrzymać i parsknął śmiechem, bo cała sytuacja zdała mu się idiotyczna: on i klecha z wielkim czarnym parasolem, stojący w strugach ulewnego deszczu. – Leje. Wracaj do domu, człowieku.

– Niebo płacze. – Ksiądz Franciszek nerwowo przestąpił z nogi na nogę. Okropnie przemókł, w jego oblepionych błotem czarnych trzewikach przelewała się woda, a dół sutanny ciążył jak obsyty kulkami ołowiu. Mimo to postanowił złożyć parasol. Trudno, zmoknie jeszcze bardziej. – Łka nad nami, nad naszą dolą, ale łyzy zawsze przynoszą ulgę i oczyszczenie.

– Ksiądz chyba żartuje. Niebo płacze? Powinni się raczej cieszyć, ci wszyscy święci, którzy tam rzekomo rezydują. – Rafał zadarł głowę i przez chwilę wpatrywał się w ciemnoszare chmury, wiszące nad miastem od kilku dni. – Szkoda, że nie spadło.

– Co takiego?

– Szkoda, że to całe pieprzone niebo nie spadło nam na łeb – wyjaśnił, wracając wzrokiem do swojego rozmówcy. – Niebo płacze – prychnął. – Moja Weronika była najlepszym człowiekiem, jakiego znałem. Czemu ci z góry się nie cieszą? Gdzie słońce i tęcza? A może to przeklęte niebo płacze nade mną? Niepotrzebnie, i tak tam nie trafię.

– Skąd wiesz? – Ksiądz Franciszek w ostatniej chwili pokręcił głowę „synu”, żeby znów nie narazić się na złośliwości.

– Bo jestem trupem. – Rafał wskazał na swoją pierś. – Jestem trupem, nie żyję, a zamiast być w niebie, stoję przed tobą, śmieszny człowieku, wierzący w jakieś religijne bzdury. Zaraz powiesz, że prócz nieba jest piekło – zgoda, to bardziej do mnie przemawia. Nawet mógłbym uwierzyć, że właśnie tam trafiłem, ale...

– Ale co?

– Jeśli to piekło... – Znów się rozejrzył. – ...jesteś w nim ze mną.

– Posłuchaj...

– Nie – przerwał Rafał. – Nikogo nie będę słuchał. Dość się nagadałeś, człowieku. Gadaj do swoich owieczek, póki żyją. Jak to mówicie? Z Bogiem? – Przesunął dłonią po mokrych włosach, żeby deszcz nie zalewał mu oczu.

– Czemu nie chcesz ze mną porozmawiać? Poczulbyś się lepiej. – Ksiądz Franciszek wyjął z kieszeni dużą chustkę i przetarł nią czoło.

– Nie. To ksiądz poczulby się lepiej.

– Chciałem...

– Chciałeś mi pomóc, ale tak naprawdę chciałeś pomóc sobie, nadać sens swojej obecności na ziemi i funkcji szamana, którą sprawujesz. Niestety, musisz poszukać innego... – Urwał, bezskutecznie szukając odpowiedniego określenia, ponieważ słowo „frajer” jakoś mu nie pasowało.

– Rozmowa przynosi ulgę.

– Dziękuję, nie chcę rozmawiać. Szczęść Boże.

Oddalił się na kilka kroków i nagle sobie coś przypomniał. Odwrócił się i po chwili znów stał przed księdzem. Z kieszeni zupełnie przemoczonego czarnego płaszcza wyjął parę okularów i plastikowy kubek. Oba przedmioty wcisnął w rękę zdumionego mężczyzny.

– To ulubione okulary mojej żony, a ten kubek to siorbacz. Wie ksiądz, co to siorbacz? Taki kubeczek, z którego nie wylewa się sok. Mój syn tak mówił: „Tata, nalej mi soczku do siorbacza”. Wyświadczy mi ksiądz przysługę? – Nie czekając na odpowiedź, kontynuował: – Proszę to im zanieść, położyć na grób czy jak tam ksiądz uważa. Jedno szkiełko jest pęknięte. To podróbka ray-banów. Kupiłem te okulary na wczasach

w Bułgarii, dla żartu, bo stać mnie na oryginały, ale Weronika chciała właśnie te. Tylko te nosiła i tylko to po niej zostało, resztę strawił piekielny ogień.

– Ja... – Ksiądz przełknął ślinę.

– Dziękuję.

Teraz mógł już odejść, załatwił wszystko.

ROZDZIAŁ 1

– Luizka! Iza! Iza!!! – Wysoki donośny głos obudziłby nawet trupa, ale na Luizie już od dawna nie robił wrażenia.

Powoli i z namaszczeniem poprawiła jedwabną apaszkę z logo domu mody Chanel, krytycznie spojrzała na odbicie w lustrze i dopiero wtedy wyszła ze swojej sypialni. Matkę jak zwykle zastała w kuchni.

– Już myślałam, że ogłuchłaś – fuknęła pani Mleczeko.

– Nie ogłuchłam. I przypominam, że mam na imię Luiza – dobitnie podkreśliła dziewczyna. Spojrzała uważnie na siedzisko krzesła, sprawdzając, czy nie ma na nim czegoś, co mogłoby ubrudzić jej elegancką ołówkową spódnicę, i dopiero wtedy usiadła. – Nie pojmuję, czemu uparcie zwracasz się do mnie „Iza”. To ty wybrałaś dla mnie imię, więc go używaj w pełnej formie.

– Nie pojmuję, kiedy zmieniłaś się w taką damulkę, co to nawet do własnej matki nie ma szacunku – burknęła w odpowiedzi Mleczkowa.

– Wiedziałam. – Luiza teatralnie przewróciła oczami. – Znowu narzekanie, od rana do nocy. Ja nie mam szacunku? A niby w jaki sposób objawia się ten brak?

– Dość. – Kazia Mleczko machnęła ręką.

Już dawno zauważyła, że od dnia, w którym jej córka została wybrana na sołtysa jako jedna z najmłodszych osób w kraju, liczba much w nosie dziewczyny powiększyła się stukrotnie. Luiza od dziecka się wywyższała, była przemądrzała i uważała, że wszystko wie najlepiej. W rzeczy samej uczyła się doskonale, była prymuską w szkole, studia też skończyła z wyróżnieniem i specjalną nagrodą rektora, ale dopiero funkcja sołtyski sprawiła, że jej zachowanie czasami stawało się nie do zniesienia. „Wyjdź już za tego Damiana, niechże cię bierze do siebie jak najszybciej” – pomyślała, stawiając przed Luizą półmisek z jajecznicą posypaną szczypiorkiem i pachnącą świeżo wysmażonym swojskim boczkem.

– I po co tyle tłuszczu? – Dziewczyna zmarszczyła perfekcyjnie wymodelowane brwi. – Mówiłam, że nie lubię jeść tłustego. – Spojrzała na swoje uda opięte ciemnografitową welenką. – Od takiego świńskiego łoju robi się cellulit.

– Nie chcesz, nie jedz.

Pani Mleczkowej niewiele brakowało, by zabrać talerz i szurnąć jego zawartością przez kuchenne okno prosto na podwórze. Kręcił się tam Czarus, ich przydomowy kundelek. Oj, nie wzgardziłby taką jajecznicą na bekonie, nawet posypaną zieleniną.

– Znowu foch. – Luiza pokręciła głową.

Najchętniej sama przyrządzałyby sobie śniadania i pozostałe posiłki, ale nie miała na to czasu. Nastawiała budzik na

szóstą, a i tak ledwie mogła ze wszystkim zdążyć. Codziennie musiała umyć włosy, starannie ułożyć je w fale lub perfekcyjnie wyprostować, zrobić makijaż, wyprasować bluzkę... Roboty co niemiara, a miała na to niecałe dwie godziny! Młoda i ambitna pani sołtys wzięła sobie za cel być do dyspozycji mieszkańców wioski już od ósmej rano. Niestety nie miała swojego biura, jak jej narzeczony Damian Konopka pełniący funkcję sekretarza w gminie, dlatego zaadaptowała pokoik na parterze domu i tam przyjmowała interesantów, ale najczęściej jeździła do nich swoją dziesięcioletnią skodą octavią, otrzymaną od rodziców na osiemnaste urodziny.

Dzisiaj zaplanowała taki właśnie wyjazd. Niedawno do Milikowa wprowadził się nowy mieszkaniec. Bardzo tajemniczy – samotny, bez rodziny i żadnych korzeni w Milikowie. Kupił dom od córki Pawlików, zaszył się tam niczym krab pustelnik, nawet zakupy robił gdzie indziej, a do tutejszego GS-u zajrzał dotychczas może ze trzy razy.

– Słyszałaś coś o tym nowym, Rafale Snarskim? – zagadnęła teraz matkę o przybysza.

– A co to za jeden? – Kazia postawiła przed córką kubek z herbatą.

– Kupił dom po starych Pawlikach.

– A! Słyszałam. Mruk ponoć, do nikogo nie powie ani słowa. Nie kłania się, do kościoła nie chodzi. Tyle wiem. – Mleczkowa przysiadła na taborecie po przeciwnej stronie stołu i przeciągnęła spracowaną dłońią po ceracie. „Muszę kupić nową, ta już pocięta i popękana” – pomyślała.

– Będę dzisiaj u niego – oznajmiła córka.

– Tak? A po co?

– Nie złożył deklaracji na wywóz śmieci. Tej podatkowej też nie.

– Uważaj, ponoć to zbir. Coś tam słyszałam u Hani, baby plotkowały, że w kryminale siedział. Młoda Pawliczka miała przez to jakieś problemy u notariusza albo w gminie. Nie wiem dokładnie, o co chodziło, ale na gospodarkę przypadały dopłaty i właściciel nie mógł być karany czy coś podobnego. Zresztą komu ja to mówię? Sama wiesz lepiej o tych dopłatach. W każdym razie Anielka Pawlikówna widziała zaświadczenie o niekaralności i rzekomo on miał jakiś wyrok, ale w zawieszeniu chyba. Albo już odsiedział? Bo ja wiem? No masz. – Poirytowana potrząsnęła głową. – Wszystko mi się poplątało.

– Naprawdę? – Luiza szerzej otworzyła oczy ze zdziwienia. Wiedziała, że sąsiadki mamy potrafią do każdej informacji dolożyć drugie tyle, a zwłaszcza te przesiadujące całymi dniami u lokalnej fryzjerki, Hanny Ziółko, ale w każdej, nawet najbardziej durnej plotce tkwiło ziarno prawdy.

– Naprawdę. Dlatego uważaj. Weź ze sobą telefon.

– Zawsze biorę.

– A najlepiej nie wchodź do domu, tylko załatw sprawę na podwórzu. Tak bezpieczniej. – Kazia spojrzała za okno. Na szczęście mrozy już ustąpiły, śnieg nie zalegał od tygodnia, a kwiecień plótł bardziej na letnią niż zimową nutę. – Nie pada, ciepło. A nuż będzie coś robił w obejściu – pokrzepiła córkę.

– Mamo, spokojnie. Dam sobie radę. Mam gaz, zapomniałaś?

Luiza już dawno zaopatrzyła się w kilka pojemników. Gaz pieprzowy zaczęła nosić ze sobą jeszcze za studenckich czasów, gdy często zdarzały się jej zaczepki ze strony mężczyzn.

Była bardzo atrakcyjna: wysoka, szczupła, ale zaokrąglona tam, gdzie trzeba. Nic dziwnego, że taka dziewczyna ze śliczną buzią, wielkimi oczami i naturalnymi blond włosami przyciągała męską uwagę.

– Gaz, nie gaz, ostrożności nigdy dosyć.

– Nie sądzę, by ktoś powążył się podnieść rękę na urzędnika państwowego. Jestem funkcjonariuszem publicznym, chroni mnie prawo.

– A dajże spokój – zachnęła się matka. – Prawo? Uważaj, bo taki chachar będzie się prawem przejmował – prychnęła.

– Oczywiście. Na pewno to płatny morderca. Zabije mnie, ledwie wręczę mu deklarację podatku gruntowego. – Luiza wzniosła wzrok ku niebu.

– A żebyś wiedziała. Za to niejeden ma ochotę zabić. Pięniędzy tyle, i za co? Że się ziemię uprawia? Że człek dba, sieje i zbiera? Toż to w Biblii napisano, że mamy iść i posiąść ziemię, a teraz nam każą płacić, bo posłuchaliśmy.

– Mamo! Daj spokój – syknęła z wyrzutem Luiza. Dziesiątki razy poruszała z rodzicami temat odpowiedzialności społecznej, podkreślając, że podatki są konieczne, ale starsi państwo Mleczkowie za nic mieli te mądrości. – Idź do ogrodu albo coś zrób, zamiast rozmawiać o czymś, o czym nie macie pojęcia ani ty, ani tata.

– Może i racja, nie mam czasu na gadanie po próżnicy. Zostaw to, posprzątam. – Wskazała brodą na pusty półmisek i okruchy chleba wokół.

Nie musiała tego mówić, Luiza nigdy po sobie nie sprzątała, od małości nauczona, że wszystko porządkuje się samo – w jej panińskim pokoju również.

Dziewczyna wstała, przetarła usta serwetką i rzuciła ją na blat.

– Zadzwoń, gdy załatwię tę sprawę.

– Zadzwoń, córciu.

Luiza wyszła z domu, by po chwili wrócić. Kozuszek był jednak zbyt gruby na obecne temperatury. Zmieniła go na lekki wiosenny płaszcz bez podpinki, jeszcze raz kontrolnie rzuciła okiem do lustra przy garderobie, poprawiła kołnierz seledynowego prochowca, zadowolona, że jego świeży pastelowy kolor podkreśla błękit jej oczu, i wreszcie udała się do nowego mieszkańca Milikowa.

Zamierzała podjechać pod dom, ale wiosenne roztopy uniemożliwiły jej dotarcie pod bramę, dlatego zostawiła samochód przy zjeździe z asfaltu i resztę drogi pokonała pieszo. Ostatnie dziesięć metrów błotnistym traktem dało jej się we znaki. Dobrze, że brzegi porastała obeschnięta ubiegłoroczna trawa, w przeciwnym razie Luiza zapadłaby się po kostki. Sprawdziła, czy wszystko w porządku z obcasami jej cielistych czółenek, i nareszcie stanęła przy furtce. Już miała nacisnąć dzwonek, gdy do jej uszu dotarł dziwny dźwięk. Prawie natychmiast poczuła, że oblewa się rumieńcem, bo odgłosy wydawane przez mężczyznę (a niewątpliwie był to mężczyzna) do złudzenia przypominały krzyki kochanków w trakcie wyjątkowo ognistego seksu! Raz po raz facet ni to stękał, ni jęczał, czasami nawet lekko pokrzykując „Uch!” albo przeciągając dłużej „Łaaaa...”.

– Cholercia, co teraz? – szepnęła do siebie.

Jak na złość odgłosy dobiegały z prawej strony ogrodu, kompletnie zarośniętej przez magnolie i nieokiełznane nożycami zimozielone krzaczyska. Państwo Pawlikowie pod koniec

życia nie mieli siły, by regularnie przycinać rośliny, a tuje otaczające całą posesję, posadzone gęsto wzdłuż ogrodzenia, zmieniły się w prawdziwy mur.

– Co on wyprawia? – Pani sołtys przełknęła ślinę, bo częstotliwość dźwięków wzrosła. – Dochodzi czy jak?

Nie żeby miała jakieś ogromne doświadczenie w sprawach intymnych, bo jak je zdobyć, skoro jej pierwszy poważny chłopak – a raczej mężczyzna – czyli Damian Konopka, mieszkał podobnie jak ona z rodzicami? A dokładnie z mamą, ponieważ ojciec zmarł, gdy chłopak skończył dziesięć lat. I tak samo jak Luiza jej ukochany nie miał warunków do uprawiania spontanicznego seksu, a już na pewno do głośnych zbliżeń. Inna rzecz, że z temperamentem Damiana raczej by do niego nie doszło. Narzeczeni spotykali się systematycznie, w każdy wtorek, piątek i sobotę po południu u Luizy albo u niego. Jedli kolację, rozmawiali, słuchali muzyki, czasami obejrzeni film przytuleni na kanapie, a potem Damian zdejmował okulary, nieśmiało całował Luizę w policzek i chuchając do ucha, proponował „małe mizianko”. Prawie zawsze Luiza się zgadzała, chyba że miała kobiece dni, wówczas Damian wyrozumiale rezygnował, trzymał ją czule za rękę i dopytywał, czy nie boli ją brzuch. Tak nie postępował demon seksu.

– Koniec tego. – Luiza się wkurzyła.

Ileż można czekać, aż szanowny pan wystęka się i wysapie?! Nacisnęła przycisk domofonu, licząc na to, że ostry dźwięk dzwonka dotrze do uszu Snarskiego. Nie wywołało to jednak żadnej reakcji. Dziewczyna zmarszczyła nos, zacisnęła usta i po prostu weszła na posesję, ostrzegawczo trzaskając starą, metalową furtką. Miała nadzieję, że gospodarz to usłyszy

i w porę zakończy akustyczny seans, czymkolwiek by nie był spowodowany.

Szła powoli, wykrzykując co kilka kroków: „Halo! Jest tu ktoś?”. Choć było to idiotyczne, zważywszy na bezsporną obecność Snarskiego, ale co miała wykrzykiwać? „To ja, pani sołtys, przyszłam z deklaracjami”? Dotarła do miejsca, w którym nareszcie mogła zobaczyć mężczyznę. Oprócz niego zauważyła także stos porąbanego drewna i – co ją zdziwiło – chyba wszystkie meble, jakie mieli Pawlikowie, ustawione przed domem.

– O cholercia... – jęknęła na widok Snarskiego.

Ale to nie rozwiązanie zagadki tajemniczych jęków nią wstrząsnęło, a wygląd mężczyzny. „On jest półnagi!” – pisała w myślach. Rafał Snarski miał na sobie jedynie spodnie bojówki. Był bez koszulki, butów i – a jakże – bielizny. Obnażone plecy mężczyzny spływały potem, mięśnie grały pod wytatuowaną skórą, a ich widok natychmiast wzbudził charakterystyczne mrowienie w podbrzuszu Luizy. Prawdę mówiąc, ostatnio coraz rzadziej doświadczała tego miłego trzepotu motyli skrzydełek, nawet wtedy, gdy Damian proponował „mizianko”. W zasadzie to nie pamiętała, by ich wspólnie spędzone intymne chwile wywoływały w niej coś innego niż skądinąd przyjemne, ale zupełnie beznamietne poczucie bliskości.

„Cholercia! Nie gap się tak!” – przywoływała się w duchu do porządku, ale jak miała nad sobą zapanować? Nie chciałyby się teraz widzieć. Jej twarz okraszyły soczyste rumieńce, widoczne nawet spod warstwy kryjącego podkładu i pudru, a oczy przypominały pięćdziesiątówki. Niewiele brakowało, by w kąć ust Luizy błysnęła kropelka śliny. Nie odrywała wzroku

od mężczyzny, a nawet podeszła na paluszkach bliżej, by jeszcze bardziej nasycić oczy, a także by dostrzec, co przedstawiają tatuaże pokrywające prawie całe plecy i ramiona Snarskiego. To orzeł? Wlepiała wzrok w największy tatuaż. Rzeczywiście, przedstawiał orła, który szeroko rozpostarł skrzydła, skierował masywny dziób w prawo, w szponach trzymał ni to wstęgę, ni wąską chorągiew ze stylizowanym napisem „DYKTATOR”. Musiała przyznać, że wygląda to całkiem nieźle, a ktoś, kto wykonał tatuaż, nie dość, że znał się na rzeczy, gdy mowa o kwestiach technicznych, to wykazał się sporym talentem artystycznym. „Ależ jesteś wielki” – westchnęła Luiza w głębi duszy. „Ciekawe, ile masz wzrostu. Pewnie ze dwa metry...”. Oszacowała całkiem udanie, bo Rafałowi Snarskiemu brakowało raptem trzech centymetrów do tej wysokości. Wagę też miał słuszną. Bywało, że osiągał trzycyfrowy wynik, ale jego przeciętny ciężar oscylował w okolicy dziewięćdziesięciu pięciu kilogramów.

Mężczyzna nie zdawał sobie sprawy, że jest obserwowany. Skupiał uwagę na pracy mięśni i kontrolowaniu oddechu. Wystarczyły dwa tygodnie bez solidnego wysiłku, bo wynoszenie mebli przed generalnym remontem domu czy rąbanie drewna na opał takim wysiłkiem nie były, a zaczął flaczać. „Jeszcze miesiąc, Snarski, i zmienisz się w tłustą baryłę z dupskiem jak szafa gdańska!” – właśnie do tego wniosku doszedł zeszłego wieczoru, gdy po lodowatym prysznicu obejrzał się w łazienkowym lustrze. Nie uważał się za próżnego, dobry wygląd miał drugorzędne znaczenie, ważniejsze dla niego były kondycja i sprawność. Tylko tego pilnował od lat, systematyczny i ciężki trening stał się jego nawykiem, a czasami pomagał jako

tako funkcjonować psychicznie. Ćwiczył więc i teraz. Oburącz trzymał pałąk metalowego wiadra, po brzeg pełnego wody. Podnosił je przed sobą i opuszczał, windując wodę w górę już ponad setny raz. Zmieniał tempo, by trening przypominał interwałowe ćwiczenia, które najefektywniej wpływały na spalanie zbędnej tkanki tłuszczowej.

Bardzo możliwe, że ćwiczyłby kolejne pięć minut albo nawet dłużej, a Luiza mogłaby go podziwiać do woli, wodząc zachłannie oczami to po plecach, to po umięśnionym karku, gdyby w porę spostrzegła zeschniętą gałązkę, która strzeliła pod jej czótenkiem. Ech! Gdyby wcześniej wiedziała, że nie należy zachodzić od tyłu tego nerwusa! Odwrócił się błyskawicznie. Nie zdążyła spostrzec, kiedy odrzucił wiadro, doskoczył do niej i stanął przed nią twarzą w twarz.

– Co jest?! – Mężczyzna wlepił w nią czujne spojrzenie. Po chwili zapytał jednak już nieco łagodniejszym tonem: – Coś ty za jedna?

Luiza bezwiednie zrobiła krok do tyłu, i jeszcze jeden, ale zanim oddaliła się od Snarskiego na metr, jej mózg zarejestrował kilka detali: prawie czarne tęczęwki oczu mężczyzny, gęsty zarost kładący się cieniem na wydatnej szczęce, sporo blizn na obu łukach brwiowych i garbaty, szeroki, można śmiało rzec – rozkładany nos z nozdrzami rozdętymi jak u konia.

– Dzień dobry. – Przełknęła ślinę, licząc, że to poprawi drożność jej krtani, zaciśniętej ze strachu. Niestety nie pomogło ani odrobinę.

– Dzień dobry – odpowiedział.

– Ja...

– Ty... – przedrzeźnił bardzo udanie jej ton i zająknięcie.

– Ja jestem sołtysem – wykrztusiła, przyciskając do piersi teczkę.

– Czemu zawdzięczam wizytę?

– Ja... – Znów się zacięła.

„Upośledzona czy co? Nie mam czasu, robota czeka” – zirytował się w duchu Snarski. Odruchowo zerknął na wiadro i w jednej chwili skoczyło mu ciśnienie. Wiadro leżało kilka metrów od nich, oczywiście woda się wylała, ale nie w tym problem, lecz w złamanym drzewku czereśni. Kupił je kilka dni wcześniej razem z drugim i posadził, licząc na owoce w przyszłym roku. Sadownik doradził, że powinny być dwa, inaczej nie zaowocują. I co teraz? Znów musiał jechać do sąsiedniej wsi po towarzyszkę dla głupiej czereśni! „Szlag by to!” – zaklął w duchu, wracając spojrzeniem do intruza.

– Lalka, mów, co masz do powiedzenia, i zmykaj. Mam zajęcie – popędził ją.

– Nie jestem żadną lalką, nazywam się Luiza Mleczeko, pełnię funkcję sołtyski Milikowa. – Natychmiast odzyskała głos, wkurzona infantylnym i protekcyjnym określeniem.

– Snarski. – Zamierzał dodać, że należy pukać, zanim się wejdzie na czyjąś posesję, ale na jego bystre oko dziewczynie niewiele brakowało do omdlenia. Pobiegała na twarzy jak pociągnięta lateksową farbą. A niech tak tu padnie bez ducha, co wtedy? Mogłaby nie przeżyć próby ratunku metodą usta-usta. – Czemu zawdzięczam obecność? Dowiem się dzisiaj? – Na moment spojrzął w niebo.

– Nie wypełnił pan deklaracji na wywóz śmieci.

– Poważna sprawa. – Pokiwał głową. – Dobra, cukiereczku, zostaw gdzieś te papiery, wypełnię i wyślę pocztą. Tam

położ. – Wskazał na drewniany stół ogrodowy, brudny jak nieszczęście, bo Rafał nie zdążył go wyczyścić po zimie.

– Cukiereczkiem też nie jestem – wycedziła groźnie przez zęby, czując, że zaraz ją coś trafi, lecz Snarskiemu nawet nie drgnęła powieka. – Muszę mieć dzisiaj te deklaracje. – Dla wzmocnienia efektu Luiza zacisnęła wargi w wąską kreskę. – Wypełni je pan w minutę. Potrzebny jest dowód osobisty, bo jeszcze należy wypełnić deklarację podatku od nieruchomości i gruntów, a najważniejsze jest zezwolenie na...

– Jak ja nie znoszę urzędasów! – przerwał jej tyradę Rafał. – Niech ci będzie. Chodź – powiedział, nawet na nią nie spojrzawszy.

Luiza się zawahała, gdy miała wejść za nim do budynku. Zbyt dobrze pamiętała ostrzeżenia matki, na dodatek manieri Snarskiego... No właśnie. W ogóle ich nie miał. Nie dość, że zwracał się do niej na ty, to jeszcze okropnie się zachowywał. Nazwał ją cukiereczkiem?! Co to ma być?! Co za kompletny cham i prostak, zero elementarnej kultury. Zero! A gdy burknął zza pleców: „Nie zdejmuj butów, bo brudno”, myślała, że padnie. Zdejmować buty? Ona? Pani sołtys? W domu petenta? Z choinki się urwał?! Dreptała za Snarskim, kręcąc głową.

Usiedli w kuchni. Dokładnie to Snarski usiadł, a Luiza przycupnęła pośladkami na brzegu taboretu, otworzyła teczkę i karcąco spojrzała na blat stołu, prawie cały zastawiony niezbyt czystymi naczyniami. Cóż, pozostały jej kolana.

– Będzie pan sortował śmieci?

– A muszę?

– Nie musi pan, ale niesortowane są droższe.

– Nie zamierzam kupować śmieci, sprzedawać też nie. Jak dla mnie mogą być bardzo drogie. Niewyobrażalnie drogie. Powiem więcej, złotko, oddam ci za frajer moje zajebicie drogie niesortowane śmieci. – Snarski wykorzystał okazję, by jej dokuczyć.

Luiza zacisnęła szczękę. „Co za wstrętne szowinistyczne chamidło!”. Wyraziła się nieprecyzyjnie, zastosowawszy skrót myślowy, ale dotychczas każdy rozumiał, o co jej chodzi, i nie żartował sobie z pani sołtys jak ten bubek!

– Uprzejmie informuję, że w naszej gminie opłaty za odbiór i wywóz niesortowanych odpadków komunalnych są wyższe niż za odbiór i wywóz sortowanych – wycedziła przez zęby. – Czy szanowny pan będzie sortował odpadki, czy nie? – Założyła nogę na nogę i nerwowo zaczęła poruszać jedną w górę i w dół.

– Lubię porządkować śmieci. – Przymrużył oczy.

„Mateńko, czuwaj nade mną”. Luiżę aż zmroziło po ostatnich słowach Snarskiego. Niby nic, a zabrzmiało jakby był mordercą. Wypisz wymaluj z filmu o gangsterach lub mafii. „Albo się zgrywa, albo faktycznie coś jest na rzeczy”. Wołała już „cukiereczka” niż „porządkowanie śmieci” przez Snarskiego. Dużo by dała, żeby jak najszybciej móc opuścić dom po starych Pawlikach, ale jak na złość facet wziął od niej ulotkę informacyjną, którą zresztą przed chwilą sama mu wręczyła, i teraz skrupulatnie ją studiował, zadając co rusz pytania, a to o worki, a to o terminy wywózki.

Swoją drogą, znów miała okazję w miarę swobodnie go obserwować. Wprawdzie twarzy nie widziała, bo pochylił głowę nad ulotką, a wtedy jego dosyć długie włosy opadły na

czoło, ale dłonie już tak, podobnie jak bosa stopy. Właśnie podziwiała kształtne, choć brudne palce lewej stopy – jakoś musiała się uspokoić! – gdy mężczyzna burknął pod nosem:

– Masz gównno na butcie.

– Słucham? – Głos Luizy zabrzmiał jak u chłopca przechodzącego mutację.

– Cukiereczku, wdepnęłaś w coś. To kurcze gównno? – Przechylił się w jej stronę i pociągnął nosem.

Luiza natychmiast się odsunęła i zabrała nogi. Uniosła stopę i szybko rzuciła wzrokiem – faktycznie, na niskim, dwucentymetrowym obcasiku utkwiło kilka żdźbeł słomy i podejrzanie wyglądająca ni to brunatna, ni to szarobura grudka.

– E... przepraszam. – Czuła, że jej twarz zmienia kolor jak kameleon. Spłoniona po cebulki włosów marzyła, by zapaść się pod ziemię.

– Spoko. I tak tu brudno. – Rafał krytycznie ocenił kuchenną podłogę. – Ale kurcze gównno? Skąd niby, skoro nie mam żadnych kur?

– Nie? A gdzie się podziały? – Luiza za wszelką cenę chciała zmienić temat.

– Rozdałem Mazurkom. – Machnął ręką w bliżej nieokreślonym kierunku. – Mieszkają niedaleko stąd. Czemu nie nosisz szpilek? – spytał z głupia frant, wprawiając ją w zdumienie. – Brzydkie te buty, jak dla starej baby.

– Co?! – W tym momencie rozszerzyła oczy i dziurki nosa, co nie umknęło jego uwadze.

„Ups! Trafiłem w splot słoneczny?” – zarżał w duchu, bo pani sołtys wyglądała, jakby miała go właśnie zabić wzrokiem. Zabić, stopić i wdeptać w łuszczące się z farby deski, niczym

rozjuszony do czerwoności byk. „A taka słodziutka i grzeczna się wydawała...” – zakpił bezgłośnie. Co poradzić, zawsze był szczerzy, a te buty naprawdę były koszarne – nie dość, że kolor i fason bez gustu, to jeszcze ten pańciowaty obcasik. Nie, nie, po trzykroć nie!

– Jajco. Mówiłem, że nie pasują ci te buty. Taka laska, a buty, jak nie przymierzając u własnej matki. Powinnaś nosić szpilki. Rasowa klaczka, nogi po szyję, czemu się oszpecać?

– A ty to kto?! Dyktator mody? – Zerwała się z krzesła. – Znacwa się znalazł!

Nie minęła minuta – ba, nie upłynęło nawet piętnaście sekund – a Luiza zapięła skórzaną teczkę i wypadła z kuchni Snarskiego. Zmierzała ku wyjściu, ostentacyjnie tupiąc, niestety tylko jednym obcasem. Dopiero po przejściu kilku kroków po podwórzu zdała sobie sprawę, że zareagowała zbyt impulsywnie. Miała zabrać podpisaną deklarację! Ale jak zapanować nad nerwami, gdy napięły się jak postronki? I te przytyki do czółenek! Jej też się nie podobały. Wcale a wcale. Z przyjemnością kupiłaby inne buty, a pewnie, że tak! Dość się napatrzyła w CCC czy w lepszych sklepach na eleganckie panie, które przymierzały sandałki na obcasie albo seksowne czerwone szpile, ale ona, Luiza, nawet się do nich nie zbliżała. Dokąd by poszła w takich butach, a przede wszystkim – z kim?!

Jej ukochany był drobnym mężczyzną, niskim i szczupłym. O swoją wagę mogła zadbać, pilnować się, żeby – nie daj Boże – nie być cięższą od partnera, ale wzrost? Miała sobie uciąć te trzy centymetry przewagi? Nawet gdy on stał w butach, a ona boso, i tak była ciut wyższa. To dla Damiana zrezygnowała z wszelakich fryzur, które dodawałyby jej choć

centymetr wzrostu, dla niego kupowała wyłącznie baleriny i inne buty na płaskiej i cienkiej podeszwie i to dla Damiana od początku ich związku nie zakładała wysokich obcasów! A ten pieprzony cham śmiał jej zwrócić uwagę?! Aż nią zatrzęśło z wściekłości! Stanęła, tupnęła, lecz bez satysfakcji, bo miękkie podłoże bez problemu przyjęło nacisk stopy, i odwróciła się na pięcie.

– Ty chamie jeden, ty prostaku, ty dzbanie potłuczony! Będziesz mnie pouczał, jakie buty mam nosić?! – Ruszyła przed siebie, zła i kipiąca gniewem.

Nagle się potknęła. Boże! Jeszcze tego brakowało, by zaryła nosem w błotnistą ścieżkę przed domem. Wystarczyło, że musiała tam wrócić po dokumenty. „Cholercia! Opanuj się, idiotko!”. Gdy pomyślała, jaki ubaw miałby z tego powodu Snarski, aż ją zatchnęło. Zatrzymała się, zrobiła dziesięć głębokich wdechów i wydechów i podeszła, tym razem spokojnie, do otwartych na oścież drzwi. Zastukała, nie licząc na jakąkolwiek reakcję, a po chwili wkroczyła do kuchni, przygotowana na drugą konfrontację ze znawcą mody.

Czasami jedno słowo, użyte przypadkiem i bez odpowiedniego kontekstu, potrafi przywołać prawdziwą falę wspomnień. To jak kamyczek, który choć mały, inicjuje lawinę. Tym słowem był „dyktator”. Ledwie Luiza je rzuciła, Rafał Snarski poczuł tępy ucisk w sercu. Nabrał powietrza i trwał tak przez moment, by dotlenić mózg, a przede wszystkim zapanować nad sobą i emocjami uwolnionymi nagle i bez ostrzeżenia.

Nosił na plecach ten przydomek, ale kto ogląda w lustrze własne plecy? Swego czasu rozważał likwidację tego fragmentu tatuażu, lecz już dawno przestał o tym myśleć. Od kilku lat podejmował z lepszym lub gorszym skutkiem próby odcięcia się od przeszłości. Im więcej dni upływało, tym przychodziło mu to łatwiej. I proszę, oto odwiedza go jakaś pindzia w zielonym płaszczyku i zaburza jego wypracowywaną powoli i z mozołem równowagę! Każdy by się wkurwił, prawda? Nie zareagował, zacisnął zęby i pozwolił, żeby pani sołtys opuściła jego włosci. Nie zareagował również, kiedy wróciła. Bez słowa podpisał deklaracje, a jedyne, co z siebie wy dobył, to kilka bliżej niesprecyzowanych pomruków aprobaty. Odetchnął z ulgą, kiedy został sam. Zgarnął papiery ze stołu, cisnął je na wyłączoną lodówkę i wrócił na podwórze, licząc, że tam się schłodzi.

Na szczęście kwietniowe słońce nie zamierzało mu w tym przeszkodzić, chociaż rzeński chłód poranka już powoli ustępował. Rafał postanowił zadziałać radykalnie. Zaczerpnął ze studni wiadro lodowatej wody i wylał je sobie na głowę. Musiał przyznać, że pomogło. Ból opanował całe jego ciało, Snarski miał wrażenie, że ktoś wbił mu setkę szpilek w każdy mięsień pleców. Powtórzył operację i parszcząc jak koń, wrócił do domu. Zrobił sobie w dzbanku lipowej herbaty, bo akurat taka ostała się po poprzednich właścicielach, i usiadł w kuchni. Tylko tu wciąż stały meble, pozostałe wystawił na zewnątrz.

– Snarski, idioto, czemu się tak ciskasz? – Spojrzał z naganą na przemoczone spodnie.

Już mu przeszło, a teraz z perspektywy krótkiego wprowadzienia czasu uznał, że musi nad sobą popracować. Nic takiego się nie stało, a wspomnienia przywołane nieświadomie przez Luizę

wcale nie były takie złe. Przeciwnie, to jedne z najlepszych chwil w jego życiu.

A było tak...

Jak dziś pamiętał ten dzień, kiedy pierwszy raz miał walczyć w Chicago, na wielkiej gali boksu Premier Boxing Champions, z bardzo godnym przeciwnikiem. Zapamiętał nawet nazwę hali, United Center, choć było to prawie piętnaście lat temu. Jego trener, Michał Koszycki, kazał mu naprędce wymyślić sobie pseudonim.

– Trenerze, ale ja nie chcę pseudonimu. Tak jest dobrze – upierał się. – Rafał Snarski.

– Jaki Snarski? Przecież ty jesteś Rafał Galej.

– Nie jestem żaden pierdolony Galej! – oburzył się. – Jestem Snarski, jak moja matka, Snarska za panny. I to dla niej będę walczył pod tym nazwiskiem.

Nie chciał mieć nic wspólnego z ojcem. Już nie. Zresztą znienawidził starego dużo wcześniej, wkrótce po pierwszej komunii, kiedy do niego dotarło, że ojciec to wyjątkowy gnój i śmieć. Postanowił wtedy, że zrobi wszystko, by matka nigdy nie płakała przez tego parszywca, i dotrzymał słowa. Ale to za mało. Chciał ją uczcić – pierwszą i jedyną kobietę, którą wtedy kochał, dlatego krzyżował rękawice jako Rafał Snarski.

– Musisz mieć pseudonim. Tu tak trzeba. Nie dyskutuj. – Koszycki był nieugięty. – Co powiesz na Dyktatora?

– Jezu, ale siara – zachnął się Rafał. Przydomek od razu wydał mu się wybitnie niefortunny i kojarzył wyłącznie z tyranami pokroju Kaddafiego czy innych mu podobnych. – Nie ma mowy.

- To sam wymyśl lepszy!
- Mam lepszy. Rafał Snarski.
- Rafał „Dyktator” Snarski? – zapytał z nadzieją trener, ale sam się skrzywił, słysząc, jakie to było durne i nadęte.
- Trenerze, daj spokój.
- Nie dam. A może...
- A może Mussolini? Kim Ir Sen? Saddam? – Rafał prychnął pod nosem.
- Snarski? Jak Stachurski?
- Ja pier... – Zmełł w ustach przekleństwo, bo Koszycki nie lubił, gdy przy nim bluzgano. – Snarski? Nie no, tragedia.
- To Dyktator.
- Wiesz co, trenerze? Niech będzie. Niech będzie ten pieprzony Dyktator!

– No i jaki on jest, ten nowy? – Kazia postawiła przed Luizą talerz ogórkowej.

– Hm. – Córka zmarszczyła nos.

Już ochłonęła po wizycie u Snarskiego. Prosto od niego pojechała do urzędu gminy, by tam jak zwykle wprosić się na szybką kawę do Damiana. Chciała się uspokoić, bo nic tak nie łągodzi nerwów jak gadka szmatka o niczym, ale po tej wizycie też nie czuła się całkowicie spokojna. Jej głowę i serce wypełniła gama sprzecznych uczuć, a co najgorsze, niektóre z nich wcale jej się nie podobały. Zwłaszcza gdy porównywała urodę obu panów, niestety z niekorzyścią dla narzeczonego. Próbowała zbagatelizować te myśli, odsunąć je od siebie, zapomnieć,

lecz jak zignorować fakty? A te były jednoznaczne: Rafał Snarski oddziaływał na nią... Nie wiedziała, jak ująć, co czuła, gdy na niego patrzyła. Zmiękły jej kolana, czyż nie? Żeby tylko kolana! Cała zmiękła na widok tego samca emanującego dżiką, zwierzęcą energią.

– I co tak mruyczysz? – zganiała ją matka, zniecierpliwiona, że musi czekać na relację z wizyty u nowego mieszkańca wsi.

– Jaki jest? Gburowaty i niewychowany.

– Popatrz, a ponoć miastowy. Tak baby mówiły w niedzielę po sumie. Że z miasta przyjechał. Z Warszawy?

– Nie wiem. Nie wypytywałam go o przeszłość. Wiem tylko tyle, że wybrał sortowanie śmieci, w domu ma bałagan, a meble świętej pamięci państwa Pawlików stoją przed domem i niszczeją. Pewnie je porąbie, tak samo jak porąbał ogromny stos drewna na opał. – Luiza sięgnęła po pieprzniczkę i obficie doprawiła zupę. – I na pewno katolik. – Zachichotała nerwowo, bo ten wniosek wysnuła na podstawie tatuażu na lewym bicepsie Snarskiego. Przedstawiał krzyż, chociaż nie taki zwyczajny, prosty, lecz finezyjny, w celtyckiej stylistyce.

– A czemu niewychowany? – drążyła Kazia.

Przysiadła po drugiej stronie stołu i nie spuszczała wzroku z córki, bo ta zachowywała się co najmniej dziwnie. Nie dość, że grzebała łyżką w zupie, jakby szukała skarbów, to jeszcze użyła pieprzu do ogórkowej, a tę zupę przyprawiała dotychczas tylko sokiem z cytryny.

– Mówił do mnie na „ty”.

– Och, wielkie mi mecyje. Młoda jesteś, to mógł.

– Może dla ciebie to nie ma znaczenia, ale dla mnie ma. Tam nie poszła Luiza Mleczo, tylko pani sołtys Luiza Mleczo.

W ostatniej chwili dziewczyna ugryzła się w język, by nie zdradzić matce, jak jeszcze zwracał się do niej Snarski. Cóż, miano „lalki” czy „cukiereczka” na pewno wywołałoby gwałtowniejszą reakcję.

Nieświadoma tego Kazia dyskretnie przewróciła oczami. Im dłużej córka pełniła funkcję sołtyski, tym bardziej zadzierała nosa. „Niewiele brakuje, by i nam kazała sobie panować” – westchnęła w duszy. Pewnie, że była z niej dumna, podobnie jak mąż, ale córka ledwie została radną w gminie, już poczuła się jak gwiazda, a teraz, po wyborach na sołtysa Milikowa, kompletnie jej odbiło. I żeby chociaż zarabiała na tym stanowisku, ale gdzie tam – miała otrzymywać nędzne grosze, z których zresztą i tak zrezygnowała. Oj, gdyby nie wielka gospodarka Mleczków, największa we wsi i okolicy, Luizka nie mogłaby sobie pozwolić na te wszystkie eleganckie ciuchy zamawiane w internecie i dostarczane przynajmniej raz w tygodniu przez kuriera. A ileż tego szło nazad? Luizka przymierzała, kręciła się przed lustrem, zestawiała nowy ciuch z innymi fatalaszkami i siup na pocztę. Czasem to się nawet śmiali z Kazi, że wychowała grymaśnicę, bo młoda Mleczkówna znów słała paczkę do Bajlando, czy jak się zwał ten sklep.

– I to taka przewina? Że na „pani” nie mówił? – podpuściła córkę, ale ta nie wyczuła żartu.

– Oczywiście, że tak. To ewidentny brak szacunku. Ogólnie chamidło z tego człowieka. Wyobraź sobie, że był na bosaka! I w samych spodniach.

– A w tym co dziwnego? – Kazia pokręciła głową. – A bo to ojciec zawsze ma buty na nogach? Czasami też w samych portkach chodzi.

– W kwietniu? Na podwórzu? – Luiza odłożyła łyżkę i spojrzała na matkę z irytacją.

– Ach, na podwórzu?

– Na podwórzu.

– A co on tam robił? Pracował?

– Ćwiczył.

– To znaczy?

– Gimnastykował się. Podnosił wiadro z wodą – powiedziała Luiza, a w myślach dodała: „Którym tak rzucił, że o mało mnie nie zabił! Dupek!”.

– Może to jakaś miastowa moda?

– O tak, na modzie to on się zna wyjątkowo! – palnęła bez namysłu, prawie od razu gryząc się w język. Było już jednak za późno, bo matka spojrzała na nią czujniej. – Gania półnagi na zewnątrz, a chciałabyś widzieć jego plecy! Całe w tatuażach, na środku wielkie ptaszydło, ni to orzeł, ni jastrząb, wokół jakieś kwiatki. Kicz i tandeta, jak u kryminalisty. Taka moda, pewnie to ostatnie więzienne trendy – fuknęła ze wzgardą.

– Nie mnóż plot, póki nie wiesz na pewno. Łatwo kogoś skrzywdzić złym słowem, ale naprawić trudniej.

– To ty mówiłaś, że siedział w kryminale! – Luiza aż podniosła się z krzesła.

– No dobrze już, dobrze. Dajmy spokój chłopakowi, bo będzie miał żabę na języku.

– Żaden z niego chłopak. Ma trzydzieści osiem lat.

– To prawie jak nasz Damianek. Rok różnicy?

– A cóż ci do głowy Damian przyszedł? Oni są jak... jak ogień i woda. Zresztą nieważne. – Luiza machnęła ręką, bo wyjątkowo niefortunnie wyszło jej to porównanie, zwłaszcza

dla Damiana, bez wątpienia bardziej wodnisteo niż Snarski. – A gdzie tata? – Postanowiła zmienić temat, bo miała już tej dyskusji po uszy, mocno czerwone zresztą, gdy uważnie na nie spojrzeć.

– Jak to: gdzie? No przecież pojechał z Bolkiem na targi.

– Na targi? Faktycznie.

Dopiero teraz Luiza przypomniała sobie o wyjeździe, który ojciec przeżywał już od tygodnia. Wybrał się daleko, bo aż pod Amsterdam, na targi maszyn rolniczych. Zamierzał kupić dwa nowe ciągniki, koniecznie z systemem EHR, cokolwiek to jest, i jakieś pomniejsze maszyny. Józef Mleczek zabrał ze sobą Bolka, pomocnika, bo droga długa, a wzrok i kręgosłup już nie takie jak za młodu. Wolał mieć zmiennika na trasie.

– Jutro wracają. Oby im poszły dobrze te zakupy, bo zaś Józek będzie się nerwował – westchnęła Kazia.

– Tata ma rajskie życie. Nie wiem, czemu taki nerwowy. – Luiza potrząsnęła głową. – Nie ma najmniejszych powodów do złości. Wszystko mu wychodzi, gospodarstwo przynosi dochód, są dopłaty z Unii, co też jest bardzo pomocne, a...

Nie miała szansy skończyć. I dobrze, bo tym razem to Kazia z irytacji podniosła się z kuchennego taboretu. Istotnie, córka miała sporo racji, ale na pewno nie można było mówić, że Józek i ona wiedli rajskie życie, zwłaszcza na początku. Zaczynali od zera, zasuważąc ramię w ramię, często od świtu do nocy, i tylko dzięki ciężkiej pracy, ambicji, determinacji i uporowi doszli do tego, co mieli kiedyś zostawić w schedzie jednemu dziecku, czyli Luizie. Nawet teraz ich życie dalekie było od rajskiego. Już dawno pogodzili się z tym, że ich córka nie ma rodzeństwa, a jedynym następcą Józefa mógł zostać

zić, czyli obcy człowiek. To właśnie spędzało sen z powiek seniora Mleczki oraz fakt, że narzeczony latorośli kompletnie nie nadawał się do pracy w gospodarstwie.

– Ktoś dzwoni! – Kazia zerwała się z krzesła, zapomniawszy, że nie powinna tak szybko wstawać, bo ostatnimi czasy dokuczały jej zaburzenia błędnika, a prawe kolano bolało na zmianę pogody. Dobrze, że w ostatniej chwili złapała równowagę, przytrzymując się blatu stołu. – To pewnie pani Koziół. Miała podjechać po przepisy.

Pokuśtykała jak najszybciej w stronę drzwi, równie szybko próbując zapomnieć o niesprawiedliwych słowach jedyne go dziecka.

„Kiedyś na pewno zmądrzeje. Potrzeba tylko czasu...”